

Mirosław Kuleba

## VARIETE RÓWNONOC [FRAGMENTY POWIEŚCI]

Kiedy nastał świt, uświadomiłem sobie bolesną rzeczywistość – bez niej wszystko straciło znaczenie. To miasto, stolica stepowców, moja praca, ja sam. Wszystko stało się wielką pustką, pozbawioną jej obecności. Jak w delirium, kiedy otchłan w trzewiach woła o łyk alkoholu. O dotknięcie istoty, której oddalenie zabija jak topór.

W świetle dnia Moskwa wyszczerzyła zęby żelbetowych blokowisk i krzywych ceglanych murów. Jak każdego ranka, zza kremlowskiego muru wypęzła całe zło świata. Jeśli gdziekolwiek na Ziemi, w jakimś odległym kraju, dokąd nigdy nie traficie, załęgnie się jakaś szkarada, jakiś psychopata zdobędzie władzę nad tłumem głodnych nieszczęśników, bądźcie pewni – Kreml już zapuścił tam swoje macki. Im większe zło, bardziej łajdacka satrapia, im więcej krwi, tym pewniejsza oferta wszechświatowego stręczyciela broni i pieniędzy. Jeden warunek: wszystko musi odbywać się poza sferą zwykłej, ludzkiej moralności.

Ściekało tutaj wszystko, co w imperium było najlepsze i co najgorsze, a potem to najgorsze pożerało to, co dobre. Uchodząc od jarzma tatarskich ord, Rosjanie założyli stolicę na ziemiach Samojedów, dla których stali się takim samym przekleństwem, jak Tatarzy dla reszty świata. Moskwa, *anus Tartarorum*.

I ta oto Moskwa przywiodła przed moje oczy balerinę ze świętej ikony.

Jak w wierszu Tarkowskiego, świętowaliśmy jej objawienie, pierwsze okamgnienia. Sami na całym świecie.

Ona była lżejsza od jaskółczego skrzydła, kreśliła koniuszkiem piór promienne lśnienia w wieczornym powietrzu i krwawe cięcia w moim sercu. A wokół nas, jak wściekły zwierz, zamarała na koślawych łapach Moskwa. Gotowa przegryźć krtań, kiedy przyjdzie czas. Kiedy padnie rozkaz. Niczym szalenciec z brzytwą w dłoni. Jak z Iskanderem Putin.

Niebo rozwarło nad nami pustkę czarnej nocy. Uliczny blask pochłonął światło gwiazd i całą przestrzeń nad otchłanią stepowego *nekropolis*. Niebo zawisło na ostrzach czerwonych gwiazd Kremla jak opończa oprycznika. Granitowa płacha Placu Czerwonego prężyła się w rtęciowej poświacie niczym ostrze topora, który wnet rozplata świat na dwoje.

Otaczał nas niemilkący nigdy gwar uliczny, głuchy pomruk prospektów biegnących ku lodowym polom Północy, ku cmentarnym pejzażom Kołymy, ku piaskom

południowych pustyń, szlifujących białe kości. Oplątała nas pajęczna sieć trakcji trolejbusowej, sypiąca w oczy elektryczne iskry. Pod nogami niesłyszalne dudnienie metra, rejestrowane subtelnym sejsmografem w głowie, błędnikiem i drżeniem szyb w bibliotecznych szafach, w kieliszkach z grubo rżniętego kryształu, w zakurzonej listowiu parkowej flory. Wozili podziemnymi magistralami masy ludzi, platformy z raketami balistycznymi. Nieustający kołowrót śmierci.

Komuna bezsensu na wszystkich poziomach, od komunalnej *kwartiry* z dwoma pokojami dla dwóch rodzin i kolektywną kuchnią, wspólną łazienką z klozetem i tysiącami wspólnych tarakanów. Wynaturzone, przedziwne życie rodzinne. My też znaleźliśmy je po wojnie, wśród gruzów Warszawy, ale u nich trwa to już całe stulecie, pięć pokoleń dzieci komunałek. Moskwa kształtuje specjalny rodzaj ludzi, dla których komuna jest naturalnym środowiskiem, jedynym, jakie znają. Rodzaj wspólnoty pierwotnej epoki lotów kosmicznych. Wszystko jest wspólne, jak Kosmos, jak planety i gwiazdy. Wspólne, a zatem jakby trochę własne, tak samo Mars, jak Alfa Centauri. W istocie nie masz niczego, Putin. Choćbyś ukradł całą galaktykę, żyjesz w komunałce. I podzielisz się wszystkim, co masz, z takimi samymi jak ty złodziejami. I swoim życiem.

Zmusiłem się do pisania. W moskiewskich archiwach i bibliotekach zebrałem już wcześniej materiały o mordercach Warszawy, tych z jednej i z drugiej strony Wisły. Jedni przynieśli pożogę i sprengkomanda, drudzy wyzwolili wymarłe ruiny i rozpoczęli polowanie na ich obrońców. Zresztą, Rosjanie byli wtedy, w 1944 roku, po obu stronach rzeki. Von dem Bach miał pod swoją komendą kryminalistów Dirlewangera i kozaków Kamińskiego, zwyradnialców Reinefartha i muzułmanów ze wschodnich batalionów.

Chciałem ich pokazać, kim byli, zanim w pierwszych dniach powstania zamordowali kilkadziesiąt tysięcy cywilnych mieszkańców Woli. Jak mogło dojść do tego kilkudniowego szału zbrodni. Wtedy jeszcze nie mogłem tego wiedzieć. Zanim trafiłem na wojny w Jugosławii, Abchazji, Czeczenii. Zanim zobaczyłem, jak żołnierz staje się ludożercą. W mylnym poczuciu, że zadawanie śmierci czyni z niego boga. W istocie bowiem tylko tego brakuje człowiekowi z boskiej wszechwładzy, prawa zadawania śmierci. I po to łapczywie sięga, kiedy tylko pęka ostatnia zaporą.

Dirlewanger musiał odnaleźć w sobie tę mroczną oskomę już podczas pierwszej wojny światowej. Dwunastokrotnie ranny, ciągle wracał do okopów. Po wojnie zaciągnął się do freikorpsów, walczył z komunistami i na ochotnika pojechał strzelać do polskich górników na Śląsku. Niewiele brakowało, kula oderwała mu kawałek kości ciemieniowej, odsłaniając mózg, ale przeżył. Zrobił doktorat, gwałcił młode dziewczęta, co było drugą jego wielką pasją, a kiedy wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, znów poczuł zew krwi.

\*

Muszę spotykać się z nimi wszystkimi, o których piszę. Żyją w mojej wyobraźni, wkradają się w myśli, przesiadują przy moim stole. Bardziej prawdziwi niż żywi. Gdyby żyli, nie znalazłbym ich myśli, które teraz snują się przed moimi oczami, spisywane na kartce papieru. Mężczyźni, z którymi chciałbym zakosztować braterstwa broni, odważni bohaterowie idący na śmierć, nieugięci. Mordercy w haftowanych złotem mundurach, których skazuję na szafot. Te kobiety, gładkość ich ciał, połysk włosów, przezroczystość oczu. Jak Fanni Kapłan, jej drobna dłoń, w której przed chwilą ścisnęła rękojeść czarnego browninga. Srebrny blask jej skóry, której nigdy nie widziało słońce. Gdyby dano jej kilka godzin, tylko parę godzin po tym, jak Malkow strzelił jej w potylicę z nagana, aby mogła ostygnąć – zamieniłaby się w kararyjski marmur. Gdyby nie wrzucono jej od razu do beczki po nafcie, gdzie spłonęła jak cerkiewna świeca.

Z Fanni Kapłan miałem spotkać się nazajutrz. Im więcej kalumni wylewano na jej biedną żydowską głowę, tym większą wzbudzała we mnie czułość. Te trzy kule z browninga, rozcięte na krzyż jak na wilkołaka, które wpakowała w Lenina. Czyż historia zna równie sprawiedliwy poryw kobiecego serca?

Zobaczyłem znowu odbicie jej twarzy, kiedy stałem przed szklaną gablotą z płaszczem Lenina, na którym krzyżykami z czerwonej nitki zaznaczono ślady po kulach. Myślała pewnie, że miał na sobie kuloodporną kamizelkę, zresztą może tak było, więc celowała w szyję. Ileż szczęścia miał ten łajdak, że kula nie rozszarpała mu tętnicy, tylko przeszła tuż obok, minęła przełyk, tchawicę, i utkwiała przy kręgosłupie. Tyle nieszczęść, tyle udręki, hekatomba połowy narodu przez te dwa milimetry w tę lub we w tę. Czy wolno pytać Boga, dlaczego? Dlaczego te kule prowadziła ręka szatana?

Takich pytań bez odpowiedzi, których lepiej Bogu nie zadawać, byłoby więcej. Dlaczego Heinz Reinefarth dożył sędziwego wieku jako szanowany burmistrz Syltu? Dlaczego nie zawisnął na szubienicy von dem Bach? Dlaczego Mołotow, który podpisywał ze Stalinem listy katyńskie, ta gnijąca rosyjska szkarada, jak napisał Solżenicyn, przeżył miliony łagierników?

Patrzę, jak zasiadają przy moim stole, piją czystą wódkę albo dobry koniak, spowiadają się kłamliwie. Znowu siedzę z Oskarem Dirlewangerem, wśród ludzi w spłowiałych mundurach, którzy zarzynają republikańskich jeńców. Widzę, jak von dem Bach odsuwa się od katowskiego pniaka, żeby krew nie trysnęła na jego glansowane oficerki. Szkoda mi na nich czasu, spotkałem miłość, lecz muszę z nimi tu być. I wskrzeszać ich znowu do życia i przywoływać z mroku ich słowa. I nie mogę ich zabić, strzelać między oczy z mojego czeczeńskiego mauzera, gdyż jestem chrześcijaninem.

Chociaż, prawdę mówiąc, nie miałem w sobie tego miłosierdzia. Czyż mam okłamywać samego siebie? Lepiej nie poddawaj mnie tej próbie, Panie!

\*

Dirlewanger miał wypisane na twarzy, z całą możliwą oczywistością, że jest psychopata. Był żywym potwierdzeniem spostrzeżenia Louisa-Sébastiena Merciera – że okrutne dusze gnieźdzą się w ciasnych ciałach. W jego przypadku było to ciało mumii, która ożyła, aby mścić się na wszystkich nieumarłych. Wpadnięte jak u zagłodzonego skażaćca policzki, mętne oczy na dne sinych oczodołów, wąskie usta, jakby rozsieczone tasakiem, były jednak tylko zewnętrznym, nieistotnym przejawem tego, co działo się w jego mózgu, którego płat czołowy nad prawym okiem przeorała karabinowa kula. Jego głowa wyglądała jak naga czaszka na sępiej szyi, z kępką wyliniałych piór na czubku ciemienia. I jak każdy sęp był ścierwojadem, żywił się krwią zabijanych przez innych i ciałami martwych dziewcząt, z którymi nie potrafił sobie radzić za ich życia. Żerował na trupach, których mu dostarczali w obfitości kamraci z SS. Mówiono, że wszystkie dziewczęce, jakie zdeflorował, były już martwe. A przynajmniej zmartwiały z przerażenia.

Inna sprawa z von dem Bachem. W przeciwieństwie do ascetycznego Dirlewangera, gruppenführer SS był sybarytą, smakoszem i snobem. Ta ostatnia cecha przejawiała się choćby w jego manipulacjach z nazwiskiem. W istocie pochodził ze ziemczych Kaszubów i nazywał się Zelewski. Historia naszego kraju zna więcej takich łajdaków, których nienawiść do Polski rosła razem z lokajską służalczością wobec Niemców. Uważał się za jednego z zaledwie kilku przyzwoitych ludzi w SS, anioła Lucyfera, który podczas powstania warszawskiego uratował tysiące kobiet i dzieci. Rzeczywiście, uratował serce Chopina, wmurowane w filar kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Wiedział, jaki los czeka stolicę, gdyż sam ją skazał na unicestwienie, zabrał urnę z sercem kompozytora i przekazał ją biskupowi Antoniemu Szlagowskiemu. Von dem Bach wymyślił założenie dla Polaków obozu koncentracyjnego w Auschwitz, lecz omdlewał podczas egzekucji Żydów w Mińsku, którą sam zarządził. Kiedy Reinefarth wyrzynał mieszkańców Woli, von dem Bach pałaszował w swojej kwaterze w Sochaczewie pieczone bażanty, których pochłonął tego dnia bodajże osiem, jak twierdził przed sądem Fischer.

\*

*Kwartira* Dżildy na Jugo-Zapadnej była punktem, w którym przecinały się wszystkie linie moskiewskiego metra, autobusów, trolejbusów i marszrutek. Wagony, kursujące w podziemnych tunelach, poskręcane ze spalonych pod Kurskiem czołgów i blach złomowanych na Bajkonurze, opróżniały tu swój pasażerski kontyngent artystyczny. Była celem niezliczonych nocnych taksówek, bladożółtych wołów z nocnych polowań i cierpliwego trałowania stołecznych ulic przez *czastników*. Tak jakby czas zapętlął się tutaj każdego dnia od nowa, ciągle w beznadziejnej pogoni za swoim sensem. Tu, przy stole w kuchni pisało się latopisy, od czasów pierwszych Rurykowiczów po ostatnich genseków. Doświadczaliśmy tam codziennie rzezi na Kulikowym Polu, blokady Leningradu i bitwy na Łuku Kurskim. Ojciec Niny, siedemnastoletni ochotnik, znów

płonął w czołgu pod Stalingradem i pozował z butelką szampana przed Reichstagiem. Wielkie wydarzenia z historii imperium często znajdowały przy stole celny komentarz albo uczuciowy poryw, zależnie od zasobności towarzystwa i bieżącego spożycia. W pewnym sensie wszystkie te komponenty życia i historii zostawały skonsumowane, w miarę możliwości z zakąską.

Był to w istocie teatr, jeden z tysięcy ukrytych w Moskwie podziemnych teatrów, scena dla największych artystów. Myliłby się jednak ten, kto zatrzymałby swoją uwagę na zewnętrznym obrazie tego, co się działo. To był tylko sztafaż. Pod nim kryła się istota wydarzeń. Teatralny spektakl, który nigdy się nie kończył. Bez azylu w pozateatralnej nierzeczywistości, oddzielonej niewidzialną kurtyną. Bez budki suflera, który podpowie jak żyć. Bez kulis, gdzie można spokojnie umrzeć. Tamten teatr był tylko zabawą w porównaniu z tym, co mieliśmy tutaj. Tam mnożyły się czasy i byty, kostiumy i butaforia. Tutaj czas pożerał życie, swoją jedyną strawę. Tam rzeczywistość mnożyła się i powielala, rozpisana na osoby dramatu i dialogi. Tutaj zawężała się i zamierała na ostrzu noża. Tu był prawdziwy teatr. Variete.

Tu działo się życie w swej najprawdziwszej, jednostkowej i niepowtarzalnej postaci. Sekunda po sekundzie, genialna sztuka grana przez wielkich artystów. Sekunda po sekundzie, kropla krwi za kroplą krwi, łza po łzie, oddech po oddechu. Śmierć po śmierci. Gdzieś obok, w innej *kwartirze*, właśnie w tych dniach umierał Wysocki. Gdzieś dalej, przy stole w kuchni na Flotskiej, umierał Jerofiejew.

– *My aktorzy żizni* – zaznaczyła Dżilda, abym właściwie zrozumiał to wszystko, w czym uczestniczyłem.

A więc zarazem dramaturgię, narzuconą rolę, jak i sam dramat komponowany ze słów, gestów, łez, pijackiej fizjologii, oddechów, uniesień ducha, genialnych fraz własnych i zapożyczonych, a wszystko zagrane bez większych złudzeń.

Zwłaszcza porwy ducha bywały malownicze i godne uwiecznienia, gdyż miałem do czynienia z elitą estrady i baletu, a także sztuki i rzeźby. Była liczna reprezentacja poetów i grafomanów, bez wyraźnej cezury między jednymi i drugimi. Obcą literaturę (grafomanię? grafomakulaturę??) reprezentowałem osobiście. Był nawet pewien ebenista, uprawiający intarsję, niestety, ograniczoną do wizerunków Lenina, za to z niebywałym diapazonem: od młodego Wołodii, poprzez szafas w Razliwie po wodza proletariatu w klasycznych ujęciach.

W węzłowym punkcie Jugo-Zapadnej, w tym epicentrum arcyzmu szlifowanego na wszystkich scenach jak Sojuz długi i szeroki, zbiegały się manowce rosyjskiego czasu, jakieś temporalne wypustki oddzielone od oficjalnego nurtu wydarzeń i rzucone zrzędzeniem losu na ulicę 26 Bakinskih Komissarow. Konkretnie: na czwarte piętro żelbetowego wieżowca, gdzie mieszkali Dżilda i Borys.

Byliśmy na peryferiach Moskwy, pośrodku betonowej pustyni, w jaką zamieniło się kilka dawnych chutorów. Pozostały po nich tylko dwie puste cerkiewki. Cała reszta,

z drewnianymi chałupami, polami i pastwiskami, lasem i cmentarzami, zniknęła pod asfaltem i cementową lawą. Na kolchozowych polach wzniesli kompleks olimpijski i hotel, gdzie teraz mieszkałem.

Wioski tratowały kiedyś tatarskie zagony i polska jazda ciągnąca na Kreml, obce wojska gwałciły dziewczki i wieszaly pomieszczyków, potem bolszewicy zrobili to samo z chłopami. Najeźdźcy palili cerkwie, ale wytrwale je odbudowywano. Teraz stały opuszczone, odcięte od świata wezbranymi golfsztromami prospektów, na których nigdy nie zamierał ruch, dniem i nocą, ta przeklęta moskiewska gorączka, komunikacyjna maligna, ale pewnie jeszcze miało powrócić do nich życie, jak zawsze dotąd. Tylko kto będzie do nich chodzić? Przecież wnet wymrą te wszystkie staruszki, które z drewnianych chałup, zniesionych pod zabudowę, przesiedlono hurtem do jednego z wieżowców. Ostatnie, które jeszcze może zostały ochrzczone, chociaż państwowym dekretem uśmiercono Boga.

Bermudzki trójkąt moskiewski, wytyczony gigantycznymi prospektami Lenina i Wiernadskiego oraz ulicą nazwaną imieniem dwudziestu sześciu bolszewickich komisarzy, rozstrzelanych w czasie wojny domowej. Czcilo się ich pamięć, chociaż byli zarazą, przed którą naród nie potrafił się inaczej, niż plutonem egzekucyjnym, obronić. To samo dotyczyło Lenina, arcyłotra kontrewolucji. Wiernadski, wybitny geolog, był obcy w tym towarzystwie. Przynajmniej nazwy tej ulicy nie będą musieli kiedyś zmieniać. A może to ten drugi, bolszewicka swołocz?

Wszystko było tu splątane w nieprawdzie. Jedno było prawdziwe. Teatr w wieżowcu numer dwanaście, gdzie metro, trolejbusy i taksówki zatrzymywały się na czwartym piętrze, swojej stacji końcowej.

Jak mówiła Dżilda: Jugo-Zapadnia.

Do tej świątyni sztuki, w której trwał nieustający performance, wiodła tylko jedna droga – z podjazdu zalatującego moczem, dalej windą zalatująca naoliwionym żelazem i moczem – nigdy schodami zalatującymi moczem i proszkiem na karaluchy; jeszcze się nie zdarzyło, aby ktokolwiek przybył tą trudną drogą albo bezpośrednio metrem, napowietrzną linią dla wtajemniczonych. Nie można było pominąć sklepu spożywczego na parterze, gdzie sprzedawano półlitrowe kontramarki do tego teatru, a poza godzinami pracy tego *gastronomu*, najbliższego postoju taksówek, gdzie wejściówki sprzedawali taksówkarze po czerwonońcu butelka.

Czasem ktoś pomyślał o czymś do zjedzenia, chociaż Rosjanie na ogół lekceważą zakąskę. Wtedy kobiety, grające akurat w spektaklu, szykowały naprędce co tam miały, z talentem właściwym wszystkim rosyjskim kobietom, które wynoszą z domu umiejętność przyrządzenia blinów albo *żarienioj kartoszki*.

Dżilda na ogół nie pchała się do kuchni, oddając kulinarną inicjatywę w ręce Niny Kosty, Gali Siemionowej albo Weroniki Graeter. Ona sama była tu *komandirem*.

Dwumetrowym Rokossowskim, marszałkiem Sowieckiego Sojuza, w stawce na Jugo-Zapadnej.

Drzwi otworzyła mi Olimpiada Olimpiejwna, tancerka-*bosonożka* z Leningradu, mama Borysa. Mieszkała po sąsiedzku i chętnie uczestniczyła w artystycznym życiu bohemy. W młodości naśladowała repertuar Isadory Duncan. Zdumiewające imię i *otczestwo*, pod jakimi ją znaleźliśmy, były zapewne scenicznym pseudonimem.

Powitał mnie złowieszczy ryk dobiegający z salonu. Zagłuszał gwar panujący w kuchni, gdzie towarzystwo kłębiło się przy stole. Poszedłem ciemnym korytarzem wprost do równie mrocznego salonu, gdzie działo się coś podniosłego. Cały ten przestronny pokój, zawsze oddzielony pluszowymi kotarami od moskiewskiego zgiełku i lipcowego słońca, wypełniał grzmiący, wściekły, drgający najwyższą emocją głos. Głos Jesienina.

Pokój wypełniały ciężkie jak były granitowego bruku słowa katorżnika, który z nadludzką mocą żąda widzenia z Pugaczowem. Głos z zaświatów.

Była to zgrana do szczętu, do zgrzytu czołgowych gąsienic i trzasków jak wystrzały nagana, płyta z głosami rosyjskich pisarzy i poetów, nagrana kiedyś przez wytwórnę Melodia. Znalazł się na niej zapis wystąpienia Jesienina z 1921 roku, kiedy recytował swój poemat. Obecny tam wówczas Gorki wspominał, że prawie nie można było tego słuchać. Teraz jednak przedśmiertną pieśń Jesienina chłonął poeta Władimir Siemionow. Był tylko z Jesieninem, stał nieruchomo i wyglądał jak skazaniec zmartwiał przed rozstrzelaniem.

*Sumaszedszaja, bieszanaja krowawaja mut!  
Czto ty? Smiert'? Il iscelenije kalekam?  
Prowieditie, prowiditie mienia k niemu,  
Ja chocz u widiet' etogo czelowieka.*

Siemionow zamarł pod tą nawałą. Nigdy dotąd nie słyszałem kogoś mówiącego w ten sposób, jak Jesienin. Nikt nigdy nie czytał tak poezji. Jakby ogłaszał wyrok dla herszta bolszewików.

*Orenburskaja zaria krasnoszerstnoj wierbludicej  
Rasswietnoje roniała mnie w rot mołoko.*

Po twarzy Siemionowa płynęły łzy. Pewnie był teraz Jesieninem, który za chwilę zawiśnie w pętli. A może był tym nieszczęsnym poetą, który nigdy nie dozna takiej wizji: jutrzeńki, która niczym wielbłądzica o czerwonej sierści karmi usta różowym mlekiem. Siemionow pisywał liryczne teksty piosenek, a jego „*Bielaja bieriozka*” okazała się przebojem. Stał teraz w brzozowym młodniku, a grzeszna Ruś, szalona

i krwawa, krzyczała w nim trzeszczącym głosem Jesienina rozpaczliwe pożegnanie, straszną przepowiednię.

*Prowaditcie, prowaditcie mienia k niemu,  
Ja chcuzu widiet' etogo czełowieka.*

Pomyślałem, że tak jak Chłopusza chce widzieć Pugaczowa, z takim samym napięciem wszystkich zmysłów ja chcę ją zobaczyć. Znów ją zobaczyć i być obok, znów wrócić do życia. A kiedy wreszcie zobaczyłem, w kuchni zabrzmiały anielskie chóry. Słowa powitań tak nieistotne wobec wstrząsającego faktu jej rzeczywistego istnienia, zmieszały się z niebiańską muzyką w moim sercu. Galeria świetnych typów ludzkich najrzadszego sortu – ludzi sztuki, była tylko przypadkowym sztafażem dla jej leonardowskiej twarzy. Siedzieliśmy obok siebie, przytuleni w tym kuchennym ścisku, nawet nie szukając słów. Wszystkie słowa płynęły bezgłośnie, były w nas, w niej i we mnie. Był to początek naszego wspólnego życia bez słów, prawdziwego życia obok słów, które zawsze są tylko słowami. Wszystko, o czym nie mówiła, było cudownie proste. Bezgłośnie napełniałem się szczęściem. Tylko to jest prawdziwe, o czym nikt ci nie powiedział. Co sam rozpoznałeś. Czego nie nazwałeś, gdyż nie wolno używać imion i słów. Nazwane będzie umniejszone. Ograniczone. Zakreślone. A miłość nie zna granic.

I anioły śpiewały bezgłośnie, anielskie chóry, a *kwartira* stała się rajem, strzeżonym przez bakijskich komisarzy. Oczyszczonych przez rozstrzelanie i po komunii z karabinowych kul wcielonych do niebiańskiej eskadry.